

Tadeusz Słobodzianek. Jeden z artystów rzeczywistych, a nie tylko wylansowanych – choć tajniki lansu posiadał, zanim to było modne. Wybitny reprezentant pokolenia, które w latach 90. i dwutysięcznych dostawało wszystko i osiągnęło wszystko. Dziś pokolenie złapało zadyszkę albo osiadło na laurach i zajmuje się utrzymywaniem stanowisk i podtrzymaniem chwały własnego nazwiska, zamienionego na markę. Wydawało się, że i tzw. Słobo gra w tej lidze, a tu tymczasem – niespodzianka. Słobodzianek dramaturg zrobił fabularnego twista i napisał doskonały zbiór dramatów – „Kwartety otwockie”. Jak to się stało? Covidowy areszt domowy? Wejście w zdrowotną smugę cienia? Perturbacje zawodowe, kiedy to niegdysiejsi sojusznicy z warszawskiego Ratusza przestali stawiać na dyrektora Teatru Dramatycznego i zrezygnowali z jego usług na rzecz Moniki Strzępki?

Faktem jest, że autor „Naszej klasy” przestał pisać sztuki polityczno-światopoglądowe z nutką egzystencjalizmu. Po dotkliwym doświadczeniu wywindowania, a potem odsunięcia, doświadczeniu w swej naturze przede wszystkim politycznym, wrócił, przemieniony, do swoich korzeni z wczesnych lat 90. Znów zaczął pisać sztuki egzystencjalne, gdzie mierzy się z tematami spoza aktualnie obowiązującej puli, zanurzając się w innym, szerszym uniwersum, a przy okazji daje wyraz dojrzałemu rozczarowaniu polityką jako zbiorem działań bezideowych, nastawionych na grę o władzę.

„Kwartety otwockie” są o wielu sprawach, ale najbardziej o tym, że w ostatecznym rozrachunku liczy się jedynie Sztuka, i to taka na serio, naprawdę pisana wielką literą. Archetypiczna to historia... Rewolucja zjada swoje dzieci,

To idzie młodość



Grzegorz Kondrasiuk

„Kwartety otwockie” są o wielu sprawach, ale najbardziej o tym, że w ostatecznym rozrachunku liczy się jedynie Sztuka, i to taka na serio, naprawdę pisana wielką literą

dawny pupil Salonu dziś jest okrzyczany przez dzieci i wnuki tej rewolucji jako dziaders, którego należy natychmiast odstawić na śmietnik historii. Są dwa powody przyspieszenia tego procesu.

Po pierwsze, radykalizacja nastrojów, języka, postaw na lewej stronie. Jesteśmy na wojnie, nam nie wystarcza już Olga Tokarczuk ze swoim czułym narratorem, potrzebujemy Agnieszki Szpili (autorki „Heksy”, być może niebawem w próbach w nowym Dramatycznym pod Moniką Strzępką i jej nową, równościową i ekofeministyczną ekipą), która nawołuje, by „puścić z dymem ten katolicki kurwidół”.

I po drugie, co jest powiązane z pierwszym, zmiana pokoleniowa. Detronizacja Słobodzianka (tak jak detronizacja Krystiana Lupy) świadczy o tym, że właśnie do teatrów idzie młodość. Młodość totalnie antystemowa, dla której i np. Lupa, i „Słobo” to



przedstawiciele tej samej dziadersowskiej, patriarchalnej gangreny. Młodość jest tu kategorią problematyczną, bo chociaż w inwektywach i polemikach przewija się ten, jakże równościowy, ejdżystowski argument wieku (nie da się przecież uciec od źródłosłowia ulubionej obelgi, „dziadersa”), to chodzi głównie o jasne wytyczenie granicy pomiędzy „my” i „oni”.

Oni to ci, którzy zamiast uprawiania aktywizmu coś tam jeszcze bełkoczą o Sztuce albo uparcie, tak jak Lupa, robią spektakle o wypaleniu dawnych ideałów, sięgając po ikony własnego światopoglądu (jak to ostatnio zrobił Lupa z Johnem Lennonem w „Imagine”). Pokolenie dzisiejszych 30-, 40- i 50-latków, którym daje się obecnie teatry, złapane w pułapkę radykalizmu, ma dwa wyjścia i żadnej możliwości pośredniej. Pozostać po tamtej, złej stronie albo odciąć się od skompromitowanego

ponoć teatru w zwykłym tego słowa znaczeniu, gdzie pojęcia dzieła sztuki i autonomii sztuki jeszcze coś znaczą. Odciąć i przyłączyć się do ruchu w teatrze (i ogólnie w kulturze) narzucającego ton, widoczniejszego i słyszalniejszego. Jeśli tego nie zrobi, to naraża się na zarzuty kolaboracji z PiS, w najlepszym razie symetryzmu (najgorzej, bo pachnie hipokryzją). Skąd my to znamy? Te pogłosy pryncypialnej krytyki hamletyzowania, estetyzmu i paseizmu artystów, którzy unikają odpowiedzialności za dźwiganie bryły świata...

Jako podzwonne dla tego schyłkowego okresu mamy zatem „Kwartety otwockie” i wywiedzione z tego zbioru spektakle. Pisałem o „Sztuce intonacji”, z której moment historyczny zrobił coś w rodzaju manifestu. Jednak Słobodzianek wraz z Anną Wieczur na tym nie poprzestali. Słobodzianek wymyślił formułę cyklu o spotkaniach ikonicznych twórców teatru XX w. Wieczur odnalazła właściwy styl reżyserski do tych krótkich, kameralnych, gęstych dramatów. Autor poszukał wyrazistości w ograniczeniu, w wprowadzeniu na scenę jedynie czterech postaci w sytuacjach i wnętrzach zmuszających do tzw. rozmów zasadniczych. Wieczur – dysponując zespołem przeświatnych aktorów Teatru Dramatycznego (m.in. Adam Ferency, Katarzyna Głogowska, Sławomir Grzymkowski, Łukasz Lewandowski, Anna Moskał, Modest Ruciński) – postawiła na reżyserską formułę oszczędną, niemal przezroczystą, oddała pole tekstowi i jego sensom oraz graniu, tak bardzo dziś staromodnemu, postaci złożonych i wiarygodnych psychologicznie. O stworzonych w Laboratorium Dramatu kolejnych realizacjach kwartetów Słobodzianka, które można także oglądać on-line, z przyjemnością napiszę w kolejnej recenzji. © ©